

– Bardzo mi miło poznać. Proszę, niech pan siada. Pewnie pan po podróży zmęczony, głodny. Coś pan przekąsi...

– Dziękuję bardzo... Nie jestem głodny... Ja...

Panna Korzewska nie dała mu dokończyć.

– Ach! To się tylko tak mówi... Zje pan coś z pewnością i herbaty się napije. Józiu – zwróciła się do siostrzenicy – zajmij się herbatą i przygotuj przekąskę.

Józia wysunęła się do kuchni. Kiedy po upływie kilkunastu minut wróciła, posłyszawszy, że ciotka mówi dziwnym jakimś tonem – bardzo dobitnie oddzielając wyrazy:

– Więc to takie wojenne małżeństwo... I Józia zostanie przy mamie szanownego pana... Hm!... Oczywiście, jeżeli ona się na to zgadza, a ojciec jej zezwala, to...

Konrad miał kwaśną, niezadowoloną minę, brwi lekko ściągnięte – w oczach hamowane rozdrażnienie.

Panna Antonina siedziała sztywna, wyprostowana i spoglądała na niego trochę jakby ironicznie.

Na widok wchodzącej Józii zatrzymała na niej spojrzenie tak długie i tak uważne, jak gdyby siostrzenicę widziała po raz pierwszy w życiu.

Coś, jak ciepły błysk współczucia, zamigotało w wyblakłych źrenicach starej panny.

Podniosła się z fotelu i, zbierając starannie fałdy swojej jasno-czekoladowej sukni, powiedziała sucho:

– Nie będę państwu przeszkadzała... Przed tak pociągłym i niezwykle pomyślanym ślubem macie zapewne dużo do omówienia...

– Takie śluby w obecnych czasach nie są żadną nadzwyczajnością... – rzekł Żarnicki trochę głośniejszym, niżby należało, a czarne jego oczy błysnęły już wyraźną irytacją...

– No tak, być może... – wycedziła panna Korzewska – Zdaje mi się jednak... nie wiem... może się mylę, że stosunki materialne nawet przy takich wojennych małżeństwach powinny być bardziej... bardziej... jakby to powiedzieć, uregulowane...

Józia, która stawiała właśnie przed Konradem szklankę z herbatą, zadrżała ręką... Strwożony wzrok przeniosła z ciotki na narzeczonego, niebardzo rozumiejąc, o co tym dwojgu chodzi.

Konrad poczerwieniał jak piwonია i byłby się może zdobył na jakąś niezbyt grzeczną odpowiedź, ale panna Korzewska, nie czekając na to, wyszła z pokoju.

– Konradzie! Co się stało? Czy ci ciotka coś nie miłego powiedziała?... Wiesz, ona już taka jest...

– Nieznośna, wstrętna baba!... – wybuchnął Konrad.

– Cicho, cicho!... Może usłyszeć...

Żarnicki zniżył głos i prawie już szeptem mówił dalej:

– Coś ty tutaj musiała wycierpieć, biedaczko... I nic mi o tym nie pisałaś...

– I pocóż ci pisać miałam?... – zauważyła Józia z trochę melancholijnym uśmiechem.

– No, teraz chwala Bogu, zabiorę cię już od tej suchej jędzy!... Co za jadowne, złośliwe, stare pannisko!... Jaki inkwizytor!... Wzięła mnie na idagację i mordowała pytaniami gorzej niż sędzia śledczy oskarżonego.

– O co cię pytała? – rzuciła Józia z mimowolnym zaciekawieniem.

– O różne rzeczy, które zupełnie do niej nie należą. A to, czy ja już skończyłem uniwersytet... a to czy mam posadę... później znów o spadek po moim ojcu... A jej co do tego?!

Przemilczał tylko, że panna Antonina zapytała go wprost, jak się zapamiętuje na to małżeństwo pani Żarnicka i czy Józia będzie miała na czas jego nieobecności zapewnione skromne choćby, ale niezależne utrzymanie.

Najbardziej rozgniewało go to, że się pod badawczym spojrzeniem starej panny zmieszał, jak przylapany na karygodnym figlu dzieciak i że odpowiedział zupełnie jakoś nie do rzeczy. Bo cóż właściwie mógł odpowiedzieć!...

– Naturalnie! Co ciotce do tego! Boże! Co za niedelikatność! – oburzyła się Józia – Nie myśl o tym już dłużej, pij herbatę, bo wystygnie.

Konrad z początku wymawiał się, że niegłodny, ale ostatecznie dał się namówić. Wypił herbatę, zjadł kromkę chleba z masłem i zabrał się do doskonalnych malinowych konfitur, stanowiących chlubę gospodarczych zdolności panny Korzewskiej.

Nagle Józia rzuciła pytanie:

– Powiedz mi, co twoja matka...

Konrad nie pozwolił jej dokończyć, rzucił tyżeczkę, którą jadł konfitury, pochwycił obie ręce dziewczyny i przyciągnął ją ku sobie.

– Józka! – zaczął lekko podrażnionym głosem – Dlaczego ty ciągle pytasz o moją mamę z takim jakimś przestrochem? Czy mi nie ufasz? Wierź mi, że mama jest bardzo, bardzo dobra... Ma wprawdzie swoje różnice... no, uprzedzenia... ale ona mnie tak kocha!...

– Bez wątpienia! – szepnęła Józia.

– Przez miłość dla mnie i ciebie pokochać musi, pokocha napewno...

Józia nie odpowiedziała. Wysunęła delikatnie swoje ręce z jego dłoni, wstała i zamknęła drzwi do przedpokoju, bo z kuchni poczynała przedostawać się silna woń gotującej się tam kapusty.

Konrad przeprowadzał ją wzrokiem.

– Józko! Ty nie jesteś szczerą!... Ty coś ukrywasz!... Czy się gniewasz o co na mnie? Uśmiechnęła się łagodnie.

– Ależ, skądże!... Myślałam teraz o tem, że muszę natychmiast napisać albo załateografować do Anielki...

Żarnicki skrzywił się z lekką niechęcią.

– A!... Do pani Walczakowej!

– Toż to moja jedyna, prawdziwa przyjaciółka.

– Mam nadzieję, że teraz znajdziesz inne! – uśmiechnął się Konrad z pewnym przymusem.

– Takiej, jak Anielka, nigdy! – zawołała gorąco Józia.

Usiadła znowu i po chwili zapytała z widocznym zdziwieniem:

– Czy ty, Konradzie, nie lubisz Anielki? Czy wogóle można jej nie lubić?

Konrad machinalnie obracał w ręce serwetkę.

– Tak... tak... bardzo zająca kobieta, ale ja, doprawdy, czasem jestem o nią zazdrosny i o jej wpływ na ciebie. Mnie się nieraz zdaje, że ty ją więcej kochasz, niż mnie...

Józia spojrzała zdumiona. Czyż Konrad już zapomniał o tem, co dla niej zrobiła Anielka?!

– Pleciesz... pleciesz... Ty co innego i Anielka co innego.

Konrad istotnie nie myślał o tem, że Walczakowa ratowała Józję w krytycznej sytuacji, nie pamiętał, ile jej okazała troskliwość i życzliwość, nie mógł zaś tego darować młodej mężatce, że się do niego samego odnosiła krytycznie i niedowierzająco i że popierała małżeństwo Maliniewiczówny z Michnikiem.

Nie chciał jednakże wyjawiać narzeczonej swoich powodów niechęci ku Walczakowej, więc po chwili rzekł:

– Dajmy spokój pani Walczakowej... Rób, jak chcesz... Pisz, czy telegrafuj... Wszystko jedno. Tyś i tak już moja! Tylko moja!...

Józia przechyliła trochę przekornie główkę na bok i ze swoim ślicznym uśmiechem spojrzała narzeczonemu w oczy.

– – – – –

Ciotka pomagała Józii pakować rzeczy.

– Całe szczęście – mruzczała, składając do kufra bieliznę – że tyle rzeczy zostało z tej wyprawy dla Michnika... Bo inaczej, to doprawdy, nie wiem, jakbyś się ty przedstawiła tej... tam... mamusi...

– Ciociu, proszę nie wspominać o Michniku! – szepnęła przestraszona Józia i z trwogą obejrzała się na zamknięte drzwi – Coby to było, gdyby Konrad posłyszał!... Przy nim niewolno wymawiać nawet nazwiska Michnika!

– Zebyś go tylko ty jeszcze nie wspominała! – mruknęła znowu panna Antonina, ale tym razem już tak niewyraźnie, że siostrzenica tych słów nie dosłyszała.

– Józio! – ozwał się z sąsiedniego pokoju głos Konrada – Proszę cię, spiesz się. Za godzinę pociąg odchodzi.

Szybko, pospiesznie, bezładnie zaczyna Józia wrzucać do kufra bluzki, sukienki, matinki, szlafroczy, ale ciotka usuwa ją energicznym ruchem na bok.

– Zostaw! Już ja ci sama wszystko spakuję. To trzeba robić uważnie, ostrożnie, żeby nie pognieść, nie podrzeć, nie zniszczyć. Bóg wie, kiedy będziesz miała na to pieniądze, żeby sobie sprawić coś nowego.

Panna Antonina mówi, jak zawsze szorstko i gderliwie, w głosie jej jednak pobrzmują jakiś nowy ton – coś, jakby przemocą hamowane wzruszenie.

Wrażliwa natura Józii odczuwa tę zmianę, ucho jej podchwytuje ten subtelny odcień i nagle dziewczyni przebiega przez głowę myśl:

– A jednak ona mnie lubi trochę, tylko jakoś okazać nie umiała. Widzę przecież, że troszczy się o mnie. Może to ja byłam winna, że niepotrzebnie ją drażniłam, nie chciałam się dostosować do jej wymagań i przyzwyczajęń.

Józia, jak zwykle, impulsywna nie umie i nie chce ukrywać swoich wrażeń. I nagle, niespodzianie dla ciotki, a nawet dla samej siebie, pada ustami do ręki panny Antoniny.

– Ciociu, proszę mi wybaczyć... Ja bardzo serdecznie przepraszam za wszystkie przykrości, kłopoty, jakie ciotka ze mną... przeze mnie...

Twarz starej panny zmienia się, powieki jej zaczynają mrugać szybko, szybko, bardzo szybko, z palców wysuwa się biała, powiewna bluzka, którą panna Antonina starannie zawiązała w płótno.

Chwilę jeszcze usiłuje walczyć z ogarniającym ją coraz silniej rozczuleniem, ale już nie zdoła... Chwyta w obie dłonie głowę siostrzenicy i do złocisto-brązowych, jak jedwab miękkich i śniących włosów przyciska swoje zwiedle wargi.

– Moje dziecko... moje dziecko... to chyba moja wina... bo widzę, że ty masz serce... Jesteś lekkomyślna, narwana, roztrzępana, ale masz serce... I dlatego boję się... bardzo się boję...

Panna Antonina urywa, nie kończy i po chwili dopiero ciągnie dalej:

– Życzę ci wszystkiego najlepszego, ale, gdybyś kiedy Józio... Wszystko być może... nie musi, ale może... ty tak mało jeszcze znasz życie... Gdybyś kiedy potrzebowała dachu... schronienia, to przypomnij sobie starą, nudną ciotkę...

ROZDZIAŁ IV.

U pani Żarnickiej nakryto już do kolacji. Stół jaśnieje białością obrusa i porcelany, lśni polyskiem sreber – jak zwykle. Bo pani domu czuwa zawsze nad tem, żeby zastawa stołu była bez zarzutu.

Nie znać jednak dzisiaj żadnych uroczystych przygotowań. Nie wyjęto z kredensu piękniejszego serwisu, nie wydobyto wykwiśniętych sreber, nie ustrojono stołu kwiatami.

Zwykła kolacja i koniec. Dodano wprawdzie jedno nakrycie, ale gość nie jest przecież także w tym domu rzadkością, a to widocznie gość jakiś, dla którego się żadnych specjalnych nie czyni zachodów.

Pani Żarnicka, ubrana w ciemno-popielatą codzienną suknię domową, siedzi przy nakrytym stole, trzyma w ręce blankiet telegraficzny i wpatruje się w niego.

Otrzymała ten telegram już przed kilku godzinami, przeczytała go kilkanaście razy, miała czas, by ośwoić się z jego treścią, a jednak odczytuje go ciągle na nowo, jakby oczym własnym nie chciała wierzyć.

„Przyjeżdżam dzisiaj, czwartek, wieczornym pociągiem z żoną Konrad.”

Krótkie, proste, lakoniczne słowa, a ileż w nich treści. Oznaczają one, że syn zlekceważył jej wolę, podeptał dumę – świadczą, że zniechęcona Józia Maliniewiczówna jest już panią Żarnicką i ma prawo do pobytu pod tym dachem.

– A przyjąć ją trzeba – pomimo wszystko przyjąć się musi!

Pani Żarnicka zanadto kocha swego jedynaka, by zdobyć się na krok taki, jak zerwanie z nim... Nie! O tem nie myśli wcale...

Józję na razie przyjąć trzeba, a później zobaczy się...

– Stało się – szepcze sama do siebie przez zaciśnięte zęby pani Żarnicka – ale ta intrygantka... ta bezczelna... zapłaci mi...

Cicho weszła do pokoju Lola. Na emaliowanej ładnej podstawce ustawiła na środku stołu wazonik z blado-różowym, gęsto osypanym kwieciem hyacyntem. Delikatna woń kwiatu rozszedła w dobrze ogrzanym powietrzu.

Pani Żarnicka podniosła głowę.

– Po co to? Co to znaczy? – zapytała surowym tonem, wskazując hyacyni.

– Tak jakoś trochę weselej... ładniej...

– Ale po co to?

– No, przecież przyjeżdża Konrad ze żoną. – powiedziała nieśmiało córka.

– Także powód do wesołości i przystrojania stołu. – pani Żarnicka zaśmiała się nieprzyjemnie, spojrzała na córkę i zobaczyła, że Lola włożyła swoją nową, jasno-perłową sukienkę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)